Należytość pocztową zapłacono ryczałtem.
Rok VII. Lwów, grudzień 1930. Nr. 12.



—:— —:— PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY —:— —:—

Silna wola.

Wyciśnij sobie moje drogie dziecko w pamięci słowo „muszę“. Powiedz sobie: muszę być lepszym w domu, muszę być grzeczniejszy w szkole, muszę się nauczyć wstawać wcześniej, muszę prawdę powiedzieć swoim rodzicom — a będziesz godny miłości rodziców, a szacunku obcych. A potem wiedz o tem także: to tylko nam w życiu owoce przynosi, co pracą naszych rąk lub zaparciem się siebie zdobywamy. Słowem, zawsze trzeba ponieść ofiarę, jeśli pragniemy zdobyć lub pozyskać jakie szczęście lub przyjemność. Wyrzeczenie się czego jest hasłem mądrego człowieka.

Nikt nie jest obowiązany zostać wielkim lub bogatym, ale każdy musi być uczciwym!



Nowe książki do czytania dla młodzieży

Zakłady Wydawnicze M. Arcta Sp. Akc. w Warszawie, Nowy Świat 35 — dały je wydrukować, do nabycia we wszystkich księgarniach.

M. Buyno-Arctowa. PERŁY KSIĘŻNICZKI MAJI. Bajka nie bajka. Błękitnemu chłopcu opowiedziana. Z 13 rys. A. Gawińskiego. Wyd. II. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1930. Cena w opr. Zł. 8.—

W. Gomulicki. ŻYCIE DLA OJCZYZNY. Powieść. Wydanie IV z rys. St. Bagieńskiego. Wydawn. M. Arcta w Warszawie, 1930. Cena w opr. Zł. 8.—

Janowski Al. „NASZ PLAC". Opowiadanie dla dzieci. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1930. Cena w opr. Zł. 4.50

M. Konopnicka. W DOMU I ŚWIECIE. Z 3 ryc. kolor. i 24 czarn. A. Gawińskiego. Wydawn. M. Arcta w Warszawie, 1930. Cena w opr. Zł. 4.—

E. Marlitt. ZŁOTA ELŻUNIA. Powieść. Wyd. VI. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1930. Cena brosz. zł. 4.20; w opr. Zł. 6.—

Or-Ot. ŚWIATEK DZIECIĘCY. Wybór wierszyków. Z 40 ryc. W. Romeykówny. Wydawnictwo M.. Arcta w Warszawie, 1930. Cena w opr. Zł. 3.—

J. Popławski. PODANIA O STAROŻYTNYCH PÓŁBOGACH I BOHATERACH GREKÓW I RZYMIAN, według Oskara Hey'a. Wyd. III. Z 45 ryc. czarn. i 12 tabl. kolor. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1930. Cena w opr. Zł. 11.—

Buyno-Arctowa M. CZYTAJMY SAMI. Krótkie powiastki dużym drukiem dla młodszych. Z obrazkami Romeykówny, w kolorowej okładce kartonowej. Zł. 3.—

— CZYTAJMY SAMI. Część II. Cena Zł. 3.—

Buyno-Arctowa M. NA WAKACJACH W ZALESIU. Powieść dla starszych dzieci. 26 rysunków Romeykówny. Cena w oprawie kartonowej Zł. 5.—

Pudłowski T. ZOCHNA W KRAINIE ŚNIEŻEK. Przygody wierszem. stron 30 i 10 kolorowych obrazków Sybilli Olfers, oprawa w karton. Cena Zł. 5.—

Rogoszówna Z. KOSZAŁKI OPAŁKI. Wierszyki, piosenki i przypowiastki, z wielobarwnemi obrazkami. A. Gramatyki-Ostrowskiej, duży format, w oprawie kartonowej. Cena Zł. 7.—

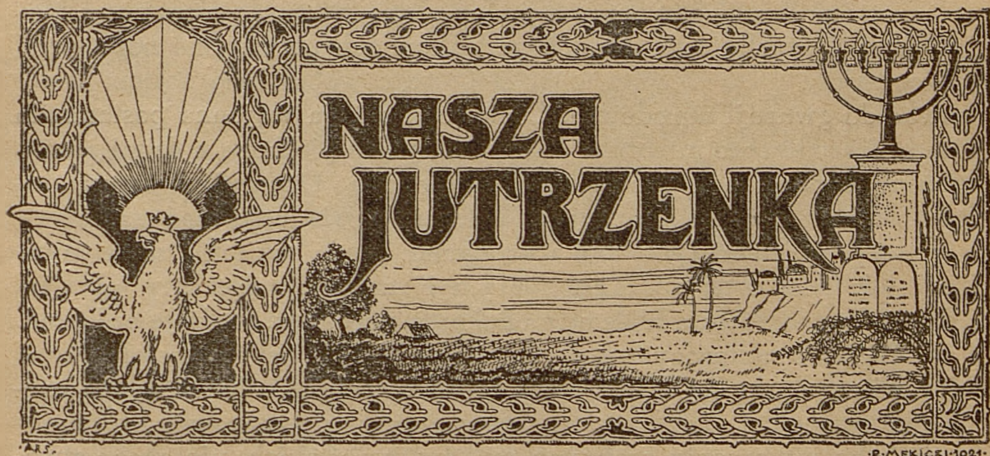
Buyno-Arctowa M. FIFINKA, czyli Awantura arabska z ilustracjami Romeykówny. Cena Zł. 5.—

Dyakowski Bohdan. PRZYGODY MŁODEJ KAWKI oraz inne opowiadania przyrodnicze z rysunkami. Cena Zł. 5.—

Rudyard Kipling. TAKIE SOBIE BAJECZKI, książka pierwsza. Cena opraw. w karton Zł. 3.40

— TAKIE SOBIE BAJECZKI, książka druga. Cena opraw. w karton Zł. 3.40

Rok VII. Lwów, grudzień 1930. Nr. 12.



—:— —:— PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY —:— —:—

Dr. Jakób Schall.

Synai Hernisch — powstaniec.

W grudniu 1930 r., a więc zaledwie w kilka dni po wybuchu powstania, zjawia się u dyktatora Chłopickiego, pewien młodzieniec żydowski o wątłej postawie, ale pełen zapału patrjotycznego i ofiaruje rządowi powstańczemu swe usługi. Jednocześnie wnosi on prośbę pisemną do „Najjaśniejszego Dyktatora", w której zawiadamia, że kilkudziesięciu młodzieńców pochodzących z najlepszych rodzin żydowskich, postanowiło zaofiarować swe usługi powstańcom, i że gotowi są oni, jakkolwiek Żydzi dotychczas w armji narodowej nie służyli, stanąć z ochotą do boju.

Młodzieńcem tym był Synai Hernisz.

Synai był synem zamożnego Żyda warszawskiego, Gustawa i Karoliny Herniszów. Jako młody chłopak wstąpił w r. 1826 do Szkoły Rabinów, której pierwszym kierownikiem był pewien ortodoksa z Hrubieszowa, nazwiskiem Stern. O Sternie wiadomo nam, że chadzał w bekieszy i był samoukiem i że mimo to zasłynął jako matematyk i wynalazca maszyny do liczenia. Wynalazkiem tym zainteresowało się Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a znakomity uczony polski ks. Stanisław Staszic wyrobił Sternowi posadę dyrektora nowopowstałej Szkoły Rabinów. Takim był jeden nauczyciel Hernisza. Drugim kierownikiem tejże szkoły i nauczycielem Hernisza był znany uczony warszawski Antoni Eisenbaum.

Antoni Eisenbaum wręcza podanie spisane przez Hernisza Chłopickiemu i uzyskuje po długich pertraktacjach przychylną odpowiedź Chłopickiego i zezwolenie, w myśl którego wolno było Żydom wstępować do gwardji narodowej. Co więcej, sekcja wojenna postanawia Rządu Narodowego utworzyć dwa pułki, jeden piechoty, a drugi jazdy, złożone wyłącznie z ochotników żydowskich. Oznaczono nawet dokładnie rodzaj umundurowania. Piechota miała otrzymać szafirowe mundury z białemi epoletami i wyłogami, jazda zaś takie same mundury jak ułani polscy. Czapki miały być zarówno u piechoty jak i jazdy czworograniaste, a białe orły i kokardy narodowe miały je ozdabiać.

Dzięki współpracy Szkoły Rabinów, Józefa Berkowicza i Isachara Horowitza udało się Herniszowi zrealizować jakkolwiek tylko częściowo swój plan. Jednakowoż wypowiedzieli się postępowcy żydowscy przeciwko utworzeniu osobnych pułków żydowskich, nie chcąc stworzyć jeszcze większego rozłamu pomiędzy ludnością żydowską a polską od tego, który istniał dotychczas.

Sam Hernisz wstąpił jako porucznik do oddziału jazdy narodowej i wziął udział w obronie Warszawy w roku 1831.

Towarzyszami broni jego są młodzieńcy tacy, jak znany później publicysta i obrońca praw ludności żydowskiej J. Lubliner, (autor dziełka p. t. „Obrona Żydów". Bruksela r. 1858), G. C. Blumenfeld, lekarze Dr. Kronenberg, Dr. Wolf, Dr. Wolfsohn i i.Wszyscy ci młodzieńcy odznaczyli się na polach bitew, a Lubliner został nawet ranny i odznaczony srebrnym krzyżem.

Po upadku powstania listopadowego ucieka Hernisz za przykładem tylu innych powstańców do Francji i osiada w Paryżu, gdzie zasłynął jako publicysta (pisarz).

Staje on niejednokrotnie w obronie sprawy polskiej, ale nie zapomina nigdy o tem, że jest Żydem i pozostaje nim do końca życia.

Dążności Hernisza popiera mąż taki, jak znakomity historyk polski Joachim Lelewel, który biorąc także Żydów w obronę przed ich wrogami, pisze te słowa:

„Gdy obcy podzielić chcieli ziemie polskie, zmieszała się na jednem pobojowisku krew synów Izraela z krwią Polaków."

A pisze to Lelewel z myślą o tych, którzy wspólnie z nim brali udział w powstaniu i wspólnie z nim poszli dzielić trudy emigracji, jak n. p. Hernisz, Lubliner lub Józef Berkowicz.

Synai Hernisz nie ogranicza się do publicystyki, ale pragnąc przysłużyć się sprawie polskiej, tłumaczy na język francuski pisma wielkiego poety Adama Mickiewicza, poezje Odyńca, lub Bohdana Zaleskiego.

Skracając sobie czas na wygnaniu, pisuje Hernisz pieśni patrjo-

tyczne, a do jednej z tych pieśni układa największy muzyk polski Fryderyk Szopen muzykę.

Jak widzimy sprowadzają losy naszego bohatera w jego pięknem i bogatem w czyny rycerskiem życiu z mężami takimi, jakimi byli Chłopicki, Lelewel, Mickiewicz i Szopen. I tak jak oni tak i on umiera daleko od ukochanej Polski, bo we Francji, a zwłoki pochowano na cmentarzu żydowskim w Paryżu, gdzie po dziś dzień spoczywają.



Arnold Spaet.

Biały słoń.

(Baśń wschodnia).

W głębi Azji, wśród niebotycznych gór. pokrytych śnieżną koroną, był mały kraj, gdzie biały słoń cieszył się wielką czcią. W zamku radży był osobny pawilon, gdzie to święte zwierzę miało swe umieszczenie i osobnych niewolników, którzy byli tylko do jego usług.

Słonia tego nie używano do żadnych robót, tylko podczas koronacji nowego władcy niósł na swym grzbiecie wybrańca bogów od pałacu aż do bogatej świątyni, gdzie strojni kapłani czekali na uroczystą ceremonję. Wtenczas to siedział radża na słoniu pod jedwabnym namiotem w otoczeniu niewolników, niosących wachlarze ze strusich piór na długich bambusowych trzcinach, a złota szata władcy błyszczała od pereł i djamentów tęczowym blaskiem. Pochód wyprzedzali czarni żołnierze bębniąc i tańcząc, w tyle zaś za białym słoniem posuwali się dygnitarze cywilni i wojskowi na czarnych słoniach — a potem ciągnął się długi orszak wybrańców armji i ludności.

Drugą uroczystością, kiedy radża na białym słoniu pod palankinem publicznie przed ludem występował, była doroczna procesja z okazji wielkiego święta Opiekuna kraju, któremu ludność pokój i dobrobyt zawdzięczała. Pochód ten nieco inaczej wyglądał. Słoń poruszał się w otoczeniu kapłanów, którzy nieśli wizerunek boga, jadącego na ognistym wozie zaprzężonym w tygrysy i jaguary i okrążając trzykrotnie miasto, modlono się do bóstwa, tronującego na śnieżnych szczytach i składano wreszcie ofiarę bóstwu rzeki, jako symbolowi obfitości i urodzaju. Poczem wśród śpiewów pobożnych i dźwięków instrumentów wracano do stolicy.

Poza tem nie używano świętego słonia do niczego; broni ani zgiełku bitewnego widzieć nie śmiał: swobodny i wolny przebywał w swym

pawilonie, zdobnym w palmy i sykomory, lub przechadzał się po podwórcu pałacowym, gdzie nierzadko sam radża długie z nim prowadził rozmowy, przyczem roztropne spojrzenie małych oczu słonia dawało niejako porozumiewawcze odpowiedzi.

W spokoju i dobrobycie upływały lata dobremu władcy, którego ludność bardzo kochała i żadne przykre zdarzenie nie zakłóciło pokojowych rządów w kraju. Aż wreszcie zdarzył się niezwykły wypadek, który poruszył całe państwo i zamącił ciszę pobożnego życia. Oto najwyższy wódz państwa, zazdroszcząc władcy swojemu sławy i panowania, uległszy podszeptom wrogiego króla sąsiedniego państwa, połączył się potajemnie z nim i na czele wielkiej armji napadł na stolicę własnej ojczyzny. Sądził on, że nagłym atakiem zaskoczone wojsko uzna jego zwierzchnictwo, a ludność podda się jego władzy.

W istocie napad wojsk nieprzyjacielskich był tak niespodziany, że armja, która nie miała czasu należycie się uformować, nie stawiała prawie żadnego oporu; powoli jednak zasilana przez szyki bitnych obywateli, zyskiwała stopniowo przewagę i duch zwycięskiej nadziei wstępował w serca walczących. Sam radża najdzielniej się bijąc, brał udział w najzaciętszych potyczkach, — aż wreszcie po kilkudniowej walce stanął oko w oko ze swym zdradzieckim wodzem.

Ambitny zdrajca postanowił teraz zginąć, lecz wprzód śmiertelną ranę zadać swemu przeciwnikowi. Rzucił się na niego i byłby z pewnością ugodził radżę, — gdyby nie było zaszło coś niezwykłego. Oto biały słoń, korzystając z tego, że miasto opustoszało i że niewolnicy wszyscy daleko gdzieś z wrogiem walczyli, opuścił swą siedzibę i błądząc długo, popędził tam, gdzie się spodziewał zastać swoich ludzi i swojego władcę. Przybył właśnie na pole bitwy w chwili, gdy pan jego w tłumie walczących znalazł się w niebezpieczeństwie. Pobiegł więc szybko ku zdrajcy, podniósł nogę, potrącił go, że upadł na ziemię i byłby niechybnie go zmiażdżył, gdyby nie sam radża, który, widząc bladego ze strachu i zaciekłości przeciwnika, zatrzymał skinieniem słonia, pogłaskał go po białej trąbie i odwrócił się od leżącego na ziemi wodza. Ten zawstydzony tym niezwykłym czynem uciekł z pola bitwy daleko i już nigdy nie pokazał się więcej.

Scenie tej przypatrywał się spokojnie święty słoń.

Wkrótce bitwę zakończono i radża w triumfie na swym białym słoniu wrócił do miasta.

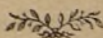
I znowu zapanowały lata spokoju i szczęśliwego życia, radża tylko częściej przebywał w pawilonie swego słonia, obdarzał go łakociami i miał w nim najwierniejszego towarzysza. Czasami zdarzało się, że słoń opuszczał pałac i wędrował po mieście; wówczas przystępowano do

niego, głaskano go po białej trąbie a nawet dzieci bez obawy biegły za nim. wiedząc, że im nic złego nie grozi.

Razu pewnego jednak pewien malec, który mu zbytnio ostrym prętem dokuczał, dotkliwą otrzymał karę. Słoń długą swą trąbą chwycił chłopaka. uniósł go w górę aż wszystkim serca zamarły z przerażenia. Sądzono bowiem, że rzuci malca gdzieś w górę i spadnie zabity na ziemię. Ale słoń powoli zniżył trąbę, skąpał malca w pobliskiej studni i postawił go przerażonego tak ostrożnie na ziemię, jakby to był kosztowny kielich najdroższego wina. Gawiedź z ulgą odetchnęła i oklaskami radości obdarzyła święte zwierzę.

Bywało, że słoń błądził całemi dniami po pobliskim lesie, ale wieczorem wracał sam do domu, gdzie mu było najlepiej.

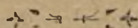
Podczas jednej z takich wycieczek zdarzyło się, że jakiś obcy, który niedawno przywędrował w te strony i nie znał zwyczajów tego kraju, spotkał się z białym słoniem w gęstwinie leśnej. Ponieważ piękne zwierzę nadzwyczaj mu się podobało, zbliżył się do niego na małą odległość a gdy zwierzę nie uciekało, lecz owszem ciekawie na obcego spoglądało, chciał je zastrzelić, aby przyjść w posiadanie tak pięknej zdobyczy. W tym celu zwrócił broń wprost na słonia. Ten widocznie przerażony niespodzianym atakiem, ruszył na strzelca, lekkim rozmachem trąby powalił zuchwalca i podniósł już nogę, aby go na miazgę zgruchotać, gdy w tem — zatrzymał się i uderzywszy trąbą leżącego wędrowca, odwrócił się i odszedł spokojnie w głąb lasu.



Karol Klein.

Matki.

Mają tępo, starannie obcięte paznokcie
I nad kuchnią spalone wynędzniałe twarze.
Mają nożem znaczone ręce aż po łokcie
I wciąż mówią: zgotuję, upiekę, usmarzę.
Pół dnia stoją przy kuchni, potem szyją łaty
Albo mięsa szukają dla chorego syna.
Czasem — w święto — za miasto idą rwać kwiaty.
Nieznacznie za godziną mija im godzina.
A gdy w nocy do uszu ich cichy jęk wzleci —
Każda, gnąc się pod męką, wstaje, biegnie bosa,
I duszą przenajczystszą spływa na swe dzieci
Jak na zioła uwiędłe srebrne spływa rosa.



Pinches Schmutzer.

Bolcio pechowiec robi karjerę

Nie ulega wątpliwości: sława psuje człowieka. Doświadczył prawdziwości tych słów Bolcio na własnej skórze. Zaledwie doczekał się wyjścia „Naszej Jutrzenki", w której zamieszczony był list zawierający opis jego pechowatych wakacyj, zakupił 20 egzemplarzy i postanowił rozesłać je wszystkim krewnym i znajomym, by go podziwiali. Nagle patrzy: brak podpisu. Na samym końcu artykułu miało być zamieszczone jego imię: „Pozdrawiam Was Bolcio pechowiec", tak zakończył swe pismo. A tu taki zawód! Taki pech!

Pocieszył się jednak rychło. Sam fakt, że uznano wytwór jego pióra poraz pierwszy w życiu godnym druku, zmienił zupełnie jego usposobienie. Czuł, że zrywa stanowczo z dzieciństwem i staje się człowiekiem poważnym, pracownikiem pióra.

„Kuj żelazo póki gorące" tak mówi przysłowie, i tak pomyślał Bolcio. Czasu wolnego ma wiele — jest przecież doskonałym uczniem i szybko umie uporać się z zajęciami szkolnemi — więc zabrał się do pisania. Wyrwał z bruljonu dwie kartki, umoczył pióro w atramencie i począł się zastanawiać.

Szło ciężko. Myśli napływały leniwie i zrzadka. Nie nasuwał się żaden ponętny pomysł. Przerobił już nawet kilka znanych nowelek, ale powstało z tego coś bardzo marnego. Bolcio rzucił to do kosza, myśląc sobie: oto redaktor, co zna wartość własnych utworów.

Nie dał jednak za wygraną. Wymyślił nowe karkołomne przygody Tom Mixa i Harry Peela, spisał wszystko i posłał do redakcji „Gazety Wtorkowej". Odpowiedź nie była zachęcająca. „Pracuj nad sobą, nie trać nadziei. Narazie rzecz nie nadaje się do druku. Ortografja również wadliwa...! To wyczytał pod swoim adresem w „Odpowiedziach redakcji."

Cóż było robić!? Szatan kusił go jednak dalej. Skoro redaktorzy są dla ciebie surowi, sam zostań redaktorem! Pomysł ten wydał się Bolciowi nienajgorszy. A gdyby tak doprawdy na najbliższem posiedzeniu „Gminy Klasowej" zaproponował wydawanie gazetki szkolnej. Przecież on z pewnością zostałby redaktorem tego pisma jako ten, którego utwory drukowano już gdzieindziej...

Bolcio podzielił się swemi planami z przyjacielem swym Józiem. Obiecał mu nawet, że dla niego będzie względniejszym i cokolwiek napisze, umieści mu w gazetce, byleby wśród kolegów pozostałych potrafił mu wyrobić jak najwięcej stronników, którzy przy wyborze redaktora będą głosowali na Bolcia.

Na samą myśl o tem, że koledzy będą do niego mówili „redakto-

rze" tańczył z radości. Marzył o sławie poetyckiej, którą osiągnie swemi wierszami (które zamierzał dopiero napisać). o sławie powieściopisarza, którą osiągnie swemi senzacyjnemi powieściami (gdy dorośnie); ba! już układał scenarjusze dla filmów. Ach! wyczytać wielkiemi literami wydrukowane słowa: „Dziś w kinie „Palace" nadzwyczajny przebój dźwiękowy pt. „Bołcio pechowiec" na podstawie słynnej powieści Bolpecha". (Bolcio wynalazł już sobie nawet pseudonim).

Tymczasem poczynił przygotowania do objęcia godności redaktora. Zakupił pudełko piór (pieniędzy, jak wiemy, miał zawsze dość). litr atramentu, librę papieru i... kosz. Każdy redaktor musi mieć kosz. Tak jest w każdej redakcji i Bolcio nie chciał odstąpić od obyczaju swych kolegów zawodowych.

Marzył o przyszłej sławie. przyszłych triumfach.

I oto marzenia spełniają się. Bolcio siedzi w wielkim pokoju przy biurku i pisze. Obok niego sekretarz przegląda pocztę. Pewne listy odkłada dla redaktora. Redaktorem jest sam Bolcio. Ten po pewnym czasie rzuca robotę i przystępuje do oszklonej szafy na książki. Stoi w niej na pułkach szereg pięknie oprawnych tomów. To dzieła Bolcia. Sława jego jest już wielka. Jest cenionym powieściopisarzem i wybitnym feljetonistą. Każdy dziennik ubiega się o to, by Bolcio na jego szpaltach cośkolwiek umieścił. A on jest hojny. Nie odmawia nikomu.Oto dzwoni telefon. Hallo! Ktoś prosi Bolcia o natychmiastowe nadesłanie przyrzeczonego artykułu. Bolcio chce odpowiedzieć, gdy wtem dzwoni drugi telefon. Podnosi więc drugą słuchawkę i mówi równocześnie z dwoma redaktorami. Obiecuje jednemu z nich nadesłać artykuł wieczorem przez woźnego. drugiemu dyktuje przez telefon. Lecz oto wielki hałas powstaje za drzwiami. Bolcio przerywa dyktat i dowiaduje się, że to cała gromada redaktorów, która stoi „w ogonku" wraz z fotografami domagają się wpuszczenia do sali. Każdy z redaktorów prosi o artykuł, każdy z fotografów o pozwolenie zrobienia zdjęcia dla zamieszczenia go na pierwszej stronie dziennika. Fotografów odprawia Bolcio z niczem. choć wie, że mu to nie pomoże, bo właśnie przedstawiciel „Wytwórni doświadczalnej" nakręca tę całą scenę na filmie, który wyświetlany będzie na drugi tydzień jako dodatek dźwiękowy w kinie. Dla redaktorów jest względniejszy. Jedynie redaktora „Gazety Wtorkowej" każe wyprosić za drzwi. Zemścił się w ten sposób za dawną krzywdę.

Po załatwieniu redaktorów, prosi o przyjęcie reżyser jednego z największych filmowych przedsiębiorstw amerykańskich. W rozmowie z Bolciem proponuje mu, by jedną ze swych ostatnich powieści przerobił w porozumieniu z nim dla filmu, który będzie nakręcany w wytwórni w Hollywood, w Ameryce. Bolcio godzi się chętnie i na

prośbę reżysera postanawia osobiście pojechać za ocean, by być obecnym przy wszystkiem. Bolcio jedzie do Hollywood!

I oto luksusowy parowiec wiezie go ku nieznanym krajom. Okręt mknie szybko prując swą stalową piersią morskie fale, które pieniąc się wtył uciekają. Bolcio spaceruje po pokładzie (co za pech, że nie dostał jeszcze morskiej choroby i nie będzie miał czem się pochwalić przed Józiem). Potem schodzi do olbrzymiej sali, gdzie świetna murzyńska kapela jazz-bandowa gra... polskiego mazurka.

Wreszcie jest w atelier fotograficznem wytwórni. Przed oczyma Bolcia snuje się barwny tłum artystów i artystek w cow-boyskich szerokich kapeluszach a wśród nich sam Tom Mix!

Zaczynają się zdjęcia do filmu Bolcia. Scena przedstawia porwanie księżniczki czerwonego plemienia przez herszta cow-boyów Tom Mixa. Dziwi wprawdzie Bolcia, że reżyser nie zasięga jego rady, ale niewiele sobie z tego robi.. Zdaje się w zupełności na niego.

Bolcio już wraca do Polski. Odprowadzają go wielkie rzesze artystów w Hollywood. Sam Tom Mix pożyczył mu swego ognistego rumaka. Po pożegnaniu siada na okręt. Gwizd syreny i okręt odbija od brzegu. Pogoda jest piękna, niebo czyste. Bolcio siedzi na pokładzie i szuka między zebranymi znajomej twarzy. Niema jednak takiej. Siedzi więc samotny.

Nagle na niebie ukazuje się na samym widnokręgu mała chmurka. Bolcio wie, co to znaczy. Burza nadciąga — myśli sobie i ciarki przechodzą mu po całem ciele. Chmurka rośnie z każdą chwilką. Już pokryła całe niebo. Daje się słyszeć groźny ryk fal uderzających z wściekłością o okręt. Serce drży w Bolciu jak u zająca. Okręt miota się, powiększa szybkość. Nadaremnie. Nie może oprzeć się oszalałej burzy. Kapitan każe rozdać ratunkowe pasy. Jeżeli okręt zostanie uszkodzony do tego stopnia, że będzie groziło zatonięcie, należy założyć pas i skoczyć do morza, gdzie trzeba będzie moknąć. aż przybędzie pomoc. Telegrafista czeka przy aparacie. Okręt pędzi całą parą. Nagle zostaje rzucony przez ogromną falę o rafy i rozbija się. Telegrafista do ostatniej chwili stojący dzielnie na posterunku nadaje depeszę iskrową: „S. O. S. ratujcie dusze nasze, giniemy". Bolcio skacze do morza.

Dzięki pasowi utrzymuje się na powierzchni. Fala unosi go daleko od szczątków okrętu rozbitego. Nagle spostrzega Bolcio olbrzymią rybę płynącą wprost ku niemu. Przypomina sobie, że może to być jakiś potwór ludożerczy.

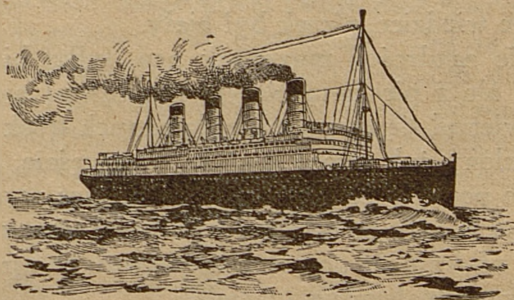
Lecz zanim miał czas uciec już potwór otworzył paszczę. Bolcio chce krzyczeć — nie może. Wreszcie, czując już zęby potwora na ciele swem, z całych sił wrzasnął:

— Mamo!

I zbudził się.

Karjera Bolcia okazała się pechowatym snem o potędze i sławie. Przetarł oczy dłonią i ziewając głośno zawołał: Która godzina?

— Już siódma Śpiochu — odrzekła matka — wstawaj, bo się spóźnisz do szkoły...



S. H. HECHTER.

Murzynek i piesek.

W pierwszem mieście żydowskiem — w Tel-Awiw — znałem starego, siwego Araba, który często przychodził tam z Jaffy, pobliskiego miasta arabskiego.

W piękne wieczory, kiedy księżyc odbywał swą wieczystą podróż po ciemnem niebie, siadywaliśmy za domem, a on wydobywał coraz to nowe opowiadania z mgły zapomnienia i opowiadał je z namaszczeniem. Mała zaledwie część tych opowiadań ostała się w mojej pamięci. Jedną najdokładniejszą ze wszystkich, opowiem wam dziś:

„Kiedym był mały, — zaczął Arab — pasłem muły ojca swojego. Po naszej wsi wałęsał się mały murzynek, nieszczęśliwe stworzenie. Kiedy się zjawiał na ulicy, obrzucaliśmy go wszyscy kamieniami, a nasza radość nie miała granic, gdyśmy go zmusili do skakania, by uniknąć kamieni. Często chodził mały murzynek do pobliskiego źródła i mył się gorliwie, poczem przeglądał się w źródle, czy stał się już białym. Nie miał co jeść, dostawał bicia, gdy zrywał owoce z drzew, nocami przymarzał, bo nie miał stałego, ciepłego legowiska, ale wszystko to znosił cierpliwie, bo uważał je za coś należnego mu. Wszystkie te cierpienia były niczem wobec świadomości, że my jesteśmy biali, a on czarnym. Nieraz w przystępie wielkiego żalu szorował twarz piaskiem i nie ustawał w pracy tej, choć twarz paliła go, jak ogniem.

Kiedy podrósł, dawali mu biedniejsi swój dobytek, a on go pędził na pastwisko. Tam przybłąkał się do niego mały piesek. Pieska tego kochał mały murzynek nad życie. Gdy dostawał chleb z owocami, odda-

wał chleb psu, a w święty piątek [1]), kiedy go częstowano ryżem, oddawał z lekkiem sercem psu cały swój smaczny obiad. Nocami otulał pieska, jak małe, pieszczone dziecko i ciepło im było razem.

Ale ciężką miał piesek przeprawę z gawiedzią. Skoro tylko zobaczono murzynka z pieskiem, grad kamieni powitał ich obu. Wtedy murzynek kładł się na ziemię, przykrywając pieska, by go ochronić od razów. Bo, musicie wiedzieć, piesek był biały.

I niczego nie zazdrościł murzynek psu, tylko białości. Z nikim nie mówił nigdy, ale z pieskiem białym rozprawiał nieraz całemi godzinami. Jemu zwierzał się ze swoich codziennych trosk i jemu też wyjawił swój nieutulony żal, swoje wielkie nieszczęście, którego się już za życia nie może pozbyć: że jest czarnym. A pies wydawał się rozumieć go, bo patrzył w oczy mówiącego i pochylał nieraz głowę na znak współczucia. Raz zdawało się nawet murzynkowi, że ujrzał łzy w poczciwych oczach swego białego przyjaciela.

Nadeszło wreszcie pewnego dnia nieszczęście. Murzynek wyszedł jak zwykle, na pastwisko, a piesek szedł powoli za nim. Wtem wypada zgraja chłopców i nuże kamieniami celować w pieska!

Zanim murzynek zdołał go obronić, już go kamień powalił. Biedne stworzenie obróciło się kilka razy skomląc, a wreszcie padło nieżywe. Murzynek rzucił się, płacząc głośno, na martwe ciało swego jedynego białego przyjaciela i wtedy usłyszeliśmy poraz pierwszy murzynka zawodzącego:

— Przecież piesek białym był! Co chcieliście od niego? Przecież białym był!

(Opowiadanie według: Chawadża Musa, Benej Azaw.)



Co wszystko ludzie potrafią.

Temu lat przeszło sto żył w angielskiej wsi Elmton, mąż nazwiskiem Buxton. Wychowanie jego było do tego stopnia zaniedbane, że nie umiał się nawet podpisać. W dzieciństwie nauczył się tylko tabliczki mnożenia i tę trochę wiedzy, dzięki swej pilności i wyrobieniu pamięci, rozwinął do tego stopnia, że umiał potem pięć lub sześć cyfr w pamięci mnożyć lub dzielić przez 5 lub 6 cyfr bardzo prędko i bez błędu.

Był bardzo biedny, ciężko zarabiał na chleb ręczną pracą i ledwie miał na tyle, że mógł sobie kupić odzież. Mimo trosk o utrzymanie, roz-

---

1) Piątek jest u Arabów dniem spoczynku.

wiązywał najtrudniejsze zadania rachunkowe i nie przeszkadzało mu to wcale, jeżeli w środku roboty wdał się w rozmowę o innym przedmiocie. Nie stanowiło też dla niego różnicy, czy był zajęty małym lub wielkim rachunkiem, bo jeżeli nie mógł ukończyć rachunku w jednym dniu, to nazajutrz rozpoczynał znowu od tego punktu, na którym stanął poprzedniego dnia. Mógł nawet swoje rachunki przerwać na jakiś czas i po kilku tygodniach lub miesiącach dalej je prowadzić. Żadna ludzka pamięć nie dokonała tak zadziwiającego dzieła jak pamięć Buxtona. Pomnożył bowiem przez siebie liczbę złożoną z 39 cyfr:

725,958,238.096,074,007,868,531,655,995,638,851.106

Buxton umarł mało na świecie znany, ale pamięć o jego zdolnościach do rachunków przechowała się dotychczas.





Poradził sobie.



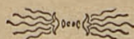
Sprzykrzyło się Józiowi wozić braciszka, więc usiadł przy książce. Ale braciszek płacze i nie daje mu spokoju.

Henryk Salz.

Dzień dobry.

Jakiż to dzień radosny!
Wszystko się dziś odmieni:
gorące słońce wiosny
weszło na niebo jesieni!
Już marły liście na drzewach.
Dni były zimne, słotne.
W północnych wiatru powiewach
słyszano groźby stokrotne.
A oto w słońcu palącem
w błogiej rozkoszy się pławię!

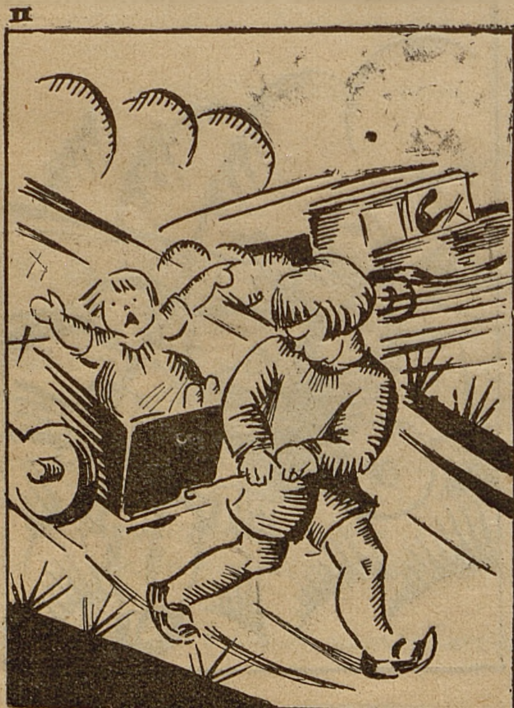
Przepięknych uczuć tysiącem
pijany jestem prawie!
Niedobre były twe czyny,
w twym każdym kroku był błąd —
A ja rozgrzeszam cię z winy,
i czysty odejdziesz stąd...
Bo dzień jest taki radosny!
Wszystko się dziś odmieni:
gorące słońce wiosny
weszło na niebo jesieni.



Dr. Karol Klein.

Natrętne dzieciaki.

Nie wiem jak ci na imię, mój drogi, mały czytelniku, nie wiem, czy jesteś chłopcem czy dziewczynką, ale to jedno wiem z pewnością: że jesteś czasem natrętnym, nieznośnym dzieciakiem. Ho-ho ! ! prawie słyszę twoje oburzenie. Co za paufałość — wołasz. Znamy się dzięki



Ażeby poprawić humor braciszkowi, wstaje Józio i ciągnie dalej wózek. Przykro mu było, bo musiał być niechętnym konikiem, gdy obok na drodze jechało auto samo. Coby dał, gdyby braciszek sam sobie jechał także? Mógłby przecież siedzieć spokojnie i czytać książkę.

Naszej Jutrzence od kilku miesięcy zaledwie, osobista znajomość łączy mnie tylko z Duszką, Irką, Heniem i Nuśkiem, a więc zgodnie z przysłowiem „więcej śmiałości jak znajomości“ zapytasz: skądże ten cierpki, dotkliwy zarzut — natrętny dzieciak?

Otóż przedewszystkiem małe sprostowanie. Jeśli nazywam was w ten sposób, to właściwie nie ganię was, przeciwnie — pochwalam i zachęcam do tego, abyście czasem, powtarzam czasem, byli natrętnemi dzieciakami. Zapytacie oczywista, kiedy to jest to „czasem“, gdy można bezkarnie stawać się ważną osobą, ściągającą na siebie uwagę wszystkich. Odpowiadam więc: wtedy, gdy zauważycie coś nieznanego dotąd a ciekawego i gdy następnie zasypujecie nas pytaniami dlaczego, po-co, na-co...

Nie sądźcie przypadkiem, że podobne pytania lekceważymy sobie, my, starsi, powołani do opieki nad wami. Tak bardzo na serjo wysłuchujemy waszych pytań, że aż jeden uczony niemiecki nazwiskiem Penzig (tylko nie pomieszajcie tego z pencakiem), całą książkę poświęcił odpowiedziom na wasze pytania. Gdyby tatuś wasz lub mamusia chcieli ją poznać — dajcie im do przeczytania to, co teraz po niemiecku napiszę: „Ernste Antworten auf Kinderfragen. Ein Beitrag zur häuslichen Erziehung von Rudolph Penzig“.



Nagle spostrzega coś dziwnego. Kot uciekł przed psem i skrył się na drzewie. Józio pomyślał: — a gdyby tak zaprzęgnąć uciekającego kota przed psem, razem obu, do wózka? — Miałby wówczas spokój z tem wożeniem.

Ale wróćmy do pytań, jakie wprost czyhają na was z każdego kąta mieszkania, z każdego przedmiotu i proszą was, byście je zadali. Wstajecie rano z łóżka i wśród kilku wstępnych obowiązków spełniacie jeden z najważniejszych: myjecie się. A przecież to nie taka prosta rzecz to mycie się. Dlaczego woda zmywa brud? Czy ludzie zawsze myli się w ten sposób jak wy to dzisiaj robicie? Po myciu się wdziewacie dzienną bieliznę. A to poco? Do czego właściwie jest nam bielizna potrzebna? Czasem koszula jest taka sztywna z nakrochmalenia, że aż ciarki, zwłaszcza w zimnym pokoju, przechodzą. W takim razie dlaczego koszula nakrochmalona jest twarda i sztywna? Przy ubieraniu się i czesaniu włosów spoglądacie do lustra. A to co znowu takiego? Skąd się wzięło lustro? Dlaczego możemy siebie oglądać? Jak fabrykuje się lustra? Świeża zagadka. Siedzicie przy stole, jecie, dajmy na to, chleb z masłem i pijecie kwaśne mleko. A z chleba rzuca się na was i z mleka wypływa potok pytań: skąd się biorą dziurki w miękuszce chleba? dlaczego chleb czerstwieje? co to jest ta skórka na chlebie? dlaczego mleko kwaśnieje? a co ludzie dawniej jedli? a czem jedli i jak jedli? skąd się wzięły talerze?

Odchodząc do szkoły ubierasz, jeśli jest zima, ciepły płaszcz. Poco? Dlaczego płaszcz grzeje? co jest cieplejsze: trzy kuszule czy koszula

IV



Jak pomyślał, tak zrobił. Kot ucieka z całej siły przed psem. pies chce dogonić, i razem ciągną prędko wózek. Braciszek cieszy się z jazdy takiej, a Józio zasiadł sobie znowu do ciekawej książki.

o podwójnej grubości? dlaczego latem nie nosimy wełnianych ubrań? Widzisz służącą, jak roznieca ogień w piecu. Dlaczego zapalają się zapałki? czy ludzie już dawno mają zapałki? dlaczego dmuchamy na zapałkę, kiedy chcemy ją zgasić? dlaczego w piecu huczy, kiedy się pali? gdzie podziewa się drzewo, gdy pali się w piecu? dlaczego woda się nie pali? A wy co na to wszystko?

W szkole próbujesz, choć nie wolno, bo to jest niebezpieczne, ślizgać się po podłodze. Nie udaje się — dlaczego? Po lodzie twardym i śliskim możesz się ślizgać, a na podłodze kamiennej również twardej i śliskiej niszczysz podeszwy, obijasz sobie i innym boki — a ślizgawka ani rusz nie idzie, choćbyś nawet łyżwy przypasał. Dlaczego? A kiedy następnie odpoczywając po daremnym trudzie zajadacie śniadanie n. p. z szwajcarskim serem, to czy was nie zastanawia skąd się biorą dziurki w serze?

Wracamy do domu na obiad. Podają zupę. A co to jest zupa? Podają mięso z kartoflami. Poco właściwie jemy mięso? co to są kartofle? dlaczego nie spożywamy ich w stanie surowym? dlaczego pieczone kartofle mają skórkę na sobie a gotowane nie? Bierzesz do ręki widelec. Skąd się wziął pierwszy widelec?

Czy myślicie, że to wszystko? Nie, tylko to wystarczy, byście wiedzieli, że najcodzienniejsze otoczenie i najzwyklejsze przedmioty powinny was zachęcić do chwalebnego bardzo i sympatycznego natręctwa. A kto wam na te pytania odpowie? Nie tatuś, zajęty pracą poza domem, ani mamusia, zahukana i tak przez was zamęczana. A więc kto? Książka, i to wcale drobniutka, skromna i niedroga. Jej autor: M. Iljin, jej tytuł: „100.000 dlaczego“ — podróż po mieszkaniu.“ Przyrzekam wam, że zaspokoi ona waszą ciekawość, że znajdziecie w niej odpowiedź na wszystkie poprzednie pytania. Zatem — szczęśliwej podróży, natrętne dzieciaki!



Dwaj bracia.

Byli sobie dwaj bracia. Nikogo nie mieli, byli sierotami. Cierpieli zawsze głód i zimno, ale się wzajemnie bardzo kochali i każdą kromkę chleba dzielili między sobą.

Pewnego razu szli obaj drogą. Przez cały dzień nie jedli. Byli smutni. Nagle zobaczyli przed sobą człowieka, który pasł bydło.

— Dobry pastuchu! Daj nam kawałek chleba, — błagały sieroty.

— Oto macie mój ostatni kawałek chleba, jedzcie i nasyćcie się! — powiedział pastuch i podał im resztę chleba.

Kiedy sieroty chleb dostały, oddał starszy brat młodszemu całą kromkę.

— Nie bracie! przez całą drogę opierałem się o ciebie, jesteś więcej głodny odemnie.

— Podzielmy chleb między sobą! — powiedział młodszy.

Bracia podzielili chleb i jedli do syta. Po jedzeniu udali się w dalszą drogę, aż doszli do rozdroża, gdzie znajdował się słup, a na słupie były wyryte następujące słowa:

„Kto pójdzie na prawo, będzie królem, a kto na lewo, ten będzie bogaczem“.

Gdy przeczytali te słowa, odezwał się młodszy brat do starszego:

— Idź na prawo, nabądź mądrości i wiedzy więcej odemnie, zostań ty królem!

Każdy udał się więc w swoją stronę, starszy na prawo, młodszy zaś na lewo.

Przez długi czas szedł starszy brat, aż doszedł do dalekiego kraju. Tam wstąpił do domu pewnej staruszki i prosił o nocleg. Wczesnym rankiem się obudził, ubrał się, obmył twarz, następnie się pomodlił.

Zdarzyło się, że w tym czasie umarł król i nie pozostawił po sobie następcy tronu, prócz jedynej córki.

Wszyscy ludzie zgromadzili się w synagodze ze świecami w ręku. Przemyśliwali kogo wybrać królem. Wreszcie postanowili: czyja świeca zapali się pierwsza, ten zostanie królem i piękną córkę króla pojmie za żonę.

— Masz, synu, świecę i pędź do synagogi — powiedziała staruszka do swego małego gościa, — może twoja świeca pierwsza się zapali.

Pobiegł sierota do synagogi. Po drodze zauważył błąkającego się ślepca. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Mały sierota zlitował się nad nim, zapomniał o wyborze króla i nie opuścił ślepego, aż go nie zaprowadził do schroniska dla bezdomnych: potem pobiegł do synagogi.

Skoro tylko wstąpił w progi, zapaliła się świeca jego sama od siebie. Zdziwił się chłopiec, odwrócił się tu i tam i zobaczył litery, unoszące się w powietrzu:

„Światłem byłeś dla ślepego, dlatego zapalila się twoja świeca pierwsza“.

Wszyscy zazdrościli obcemu chłopcu szczęścia, i zaczęli dmuchać na jego świecę, ale córka króla, która siedziała na tronie zauważyła to, i zawołała:

— Nie ruszajcie go, jego świeca pierwsza zapłonęła, on będzie następcą tronu.

Tak się też stało. Kiedy chłopiec dorósł, pojął królewnę za żonę i panował sprawiedliwie i ku zadowoleniu wszystkich. Brat jego był także przy nim.

(Tłumaczyła z hebr. *P. R.*)



Szem-Tob.

Ojciec i syn.

Pewnego wczesnego poranku wspinali się dwaj wędrowcy na stok wysokiej góry. A góra była stroma i niedostępna. Wszędzie wokoło były urwiska i rozwierały się bezdenne przepaście. Nigdzie nie było ścieżyny, ani śladu stóp ludzkich. Poprzez zarośla i gąszcza musieli sobie torować drogę ku szczytowi. Dopiero przed chwilą zaróżowiło się niebo, gęsta mgła zakrywała jeszcze wyżyny. Nieśmiało przeciskał się przez nią pierwszy brzask jutrzni. Uśpiony świat pomału budził się do życia. Tutaj zrywała się ptaszyna, unosiła się w przestworze i śpiewała modlitwę poranną. Tam znowu wypłoszona łania, lub chyża kozica umykała szybko jak strzała na niedostępną skałę. Wędrowcom było bardzo spieszno. Usiłowali jak najrychlej dotrzeć do szczytu; zapewne nagli ich konieczność, lub rozkaz. Naprzód kroczy z powagą stuletni starzec, siwy jak gołąb, o białej jak śnieg brodzie, sięgającej do pasa. Pomimo sędziwego wieku trzyma się prosto, jest krzepki i odważny. W jednem ręku trzyma płonącą pochodnię, a w drugiej dzierży obosieczny miecz. Za nim postępuje hoże pacholę, jasnookie, smukłe jak młody cedr Libanu. Pacholę dźwiga na swych barkach sporą wiązkę narąbanego drwa. Cisza panuje dookoła; tylko od czasu do czasu zaszeleści liść trącony powiewem wiatru. Chłopczyna pierwszy przerywa milczenie:

— Ojcze mój! tam na szczycie góry kazał Pan złożyć ofiarę. Mamy ze sobą ogień, drwa i wyostrzony miecz, gdzie zaś jest baranek ofiarny?

— Pan upatrzył sobie na ofiarę ciebie synu mój — odrzekł ojciec.

Chłopiec pojął słowa rodzica. — Niech się stanie Jego święta wola! — szepnął.

Dążyli dalej, coraz wyżej, coraz bliżej celu. Nagle obok starca ukazał się jakiś człowiek jakby znany skądś, jakoby widziany już kiedyś. Przywitał się z nim serdecznie, rozpoczął rozmowę; zaczął go wypytywać o cel wycieczki.

— Ku wyżynie, odrzekł zagadnięty, na służbę bożą!

Obcy zbliżył się do starca i z szyderstwem zawołał:

— Abrahamie! dlaczego taisz przedemną swe zamiary. Wiadomo mi, co postanowiłeś. Już na samą myśl o tej okrutnej zbrodni wzdryga się moja dusza. Chcesz zgładzić swego, ślicznego jedynaka. Pomyśl tylko, ile łez ty i twoja żona Sara wylewaliście, nim dostałeś to dzieciątko. Prawie sto lat błagałeś o potomka. A teraz skoro w cudowny sposób obdarzył cię Pan tem prześlicznem pacholęciem, chcesz je pozbawić życia. Chcesz dłonie swe splamić krwią niewinnego dziecka. Uroiłeś sobie, że w ten sposób wykonasz polecenie boskie. Zastanów się dobrze, przecież zbliżasz się do śmierci, a kto będzie dziedzicem twoich rozległych posiadłości i twego imienia? Na kim spełni się obietnica pańska, wielkie powołanie twych dzieci, gdy zejdziesz ze świata bezpotomnie? Umrzesz ze zgryzoty, osamotniony, obcy rozgrabią twój dobytek. Dom twój będzie opuszczony i zgaśnie wszelka pamięć po tobie!

Posłuchaj mnie, uciekajmy stąd, opuść te złowrogie szczyty. Wracajmy bezwłocznie z chłopcem do domu, do oczekującej was z tęsknotą Sary. Prześlicznego macie synka, wyrośnie wam na zacnego człowieka, osłodzi ci twe stare lata.

Partjarcha pomiarkował kogo ma przed sobą, odwrócił się od przybysza i krzyknął:

— Precz odemnie szatanie, kusicielu! Wola Boża jest mi świętą, nic mnie nie odstraszy i nie powstrzyma od wykonania Jego rozkazu. Niema takiej ofiary, do której nie byłbym zdolny, której nie byłbym gotów wykonać bez namysłu, dla uświęcenia Jego imienia!

Kusiciel dał za wygraną. Poznawszy niezłomną wiarę praojca, znikł we mgle.

Niebawem wyrósł jakby z pod ziemi przystojny młodzian. Przyłączył się do pacholęcia, kroczącego w małem oddaleniu od ojca. Zdawał się być kimś znanym, jakby towarzyszem młodości. Przyłączył się do chłopca, przywitał się z nim serdecznie i począł rozprawiać o wycieczce w górach, o dawnych przyjaciołach i t. p. Nagle jakby dopiero teraz zauważył, zapytał go zdziwiony, co to za brzemię dźwiga, wszak droga jest i tak uciążliwa.

— Noszę drwa pod całopalną ofiarę.

— Aha ja ci Izaku powiem, co z tego będzie. Twój okrutny ojciec ma zamiar zabić cię na szczycie Morji, swym ostrym mieczem. Ułoży

tam stos z drwa, który dźwigasz na własnych barkach i spali cię na popiół. Zastanów się tylko: świat taki ładny, życie takie urocze, tyś jeszcze młodzik, nie skosztowałeś przyjemności życiowych, a masz już zginąć z rąk zabobonnego starca. Pomyśl, co się stanie z twoją drogą matulą, pogrąży się we łzach, rozpacz rozedrze jej serce, nie przeżyje tego ciosu. Pozostaw tego starca, uciekajmy stąd. Pocóż wspinać się na szczyty, pocóż dążyć do wyżyn? Spójrz na dół, jak tam ślicznie, na nizinach rozpościerają się kwieciste łąki. Tam młodzież, rówieśnicy nasi bawią się ochoczo. Rozlega się wesoła pieśń i głos fletni i bębna. Wre ochoczo zabawa, pląsy i różnorakie igrzyska. Zrzuć brzemię z bark, wyprostuj się, zakosztuj życia i używaj dnia, usta napełnij śmiechem! Nie słuchaj starego ojca, który prawi wciąż o ofiarach i obowiązkach. Nie rozumie nas młodych i nie pojmuje porywów nurtujących serca młodzieży.

Syn Abrahama poznał w przybyszu uwodziciela i krzyknął:

— Precz odemnie! Ja kocham Boga i słucham starego ojca! Wyryte są w mojem sercu słowa: W'ahawta el adonaj: Miłuj Boga z całego serca, z całej duszy i całą swą istotą.

Wróg znikł pośpiesznie, lecz nie dał jeszcze za wygraną.

Niebawem zaczęły się piętrzyć przed wędrowcami przeszkody. Tu otwarła się bezdenna otchłań, tam znowu wyrosła przed nimi stroma skała. Kilka kroków dalej przecinał im drogę rwący strumień, lub głębokie jezioro. Lecz oni przechodzą je w bród. Nagle spada ogień z nieba wszystko wokoło staje w płomieniach, — nie zawahali się ani przez chwilę przechodzili przez morze ogniste.

Ostatecznie po trudach dopięli celu i stanęli na szczycie Morji Wznieśli ołtarz i przystąpili do wykonania rozkazu Bożego. Lecz poznali niebawem, że Bóg poddał ich jedynie próbie, że Najmiłosierniejszy nie pragnął ofiary całopalnej, lecz chciał się przekonać o sile ich wiary.

W nagrodę za ich wiarę, za ich wytrwałość i szlachetne usiłowania pobłogosławił im Przedwieczny i przyrzekł pamiętać ich ofiarę — akejda — ich potomkom po wieczyste czasy.

Ojciec i syn pomodlili się na uświęconem miejscu i wrócili uszczęśliwieni do domu w Ber-Sabie.



Grudzień.

Liście opadły z drzew. Gałęzie i gałązki sterczą nagie, a smutne myśli opanowują nas na widok stroju, w jaki jesień przyodziała drzewa. Mówi się, że drzewa zamierają na zimę, lecz jest to śmierć pozorna, to w nagich pniach ukryte są soki, które na wiosnę znów zaczną krążyć, a na końcach gałązek znajdują się małe pączki, z których na przyszły rok trysną nowe, świeże liście. Nawet te opadłe pożółkłe liście nie przepadają bez korzyści. Gniją one, rozkładają się i oddają ziemi różne cząstki z powrotem, które w ciągu wiosny i lata, drzewo przedtem wyciągnęło korzeniami.

Większość ptaków opuściła nas już. Lada dzień opuszczą nas dalsi skrzydlaci przyjaciele nasi, którzy jeszcze rozweselają nas. Są to zięby, szpaki, rudziki i reszta tych skrzydlatych podróżników, którym nie służy zima w rodzinnym kraju.

Oziminy zasiane w sierpniu i we wrześniu wykiełkowały już, wyrosły i okryły świeżą zielenią, czarną nagość pola. Niedaleko ciągnie się piękna ruń pszenicy. Jakieś duże ptaki pasą się na łanie. Mają długie nogi i długie szyje i zbierają coś z ziemi. Są to żórawie. Ptaki te podążają także na południe, lecz lecą nocami, a w dzień zapadają na pola i tam żerują.

Teraz widzimy tylko naszych stałych przyjaciół ptaszęcych: naszego wróbla i pięknego szczygiełka. Znamy szczygiełka. Ma wierzch brunatny, spód białawy, główkę trójbarwną: czerwoną, czarną i białą, skrzydełka czarne z żółtą pręgą, a ogonek czarny w białe plamki. Posłuchajmy, co o nim poeta pisze:

Jestem sobie ptak malutki,
Ze szczygłów rodziny,
Do swych braci podobniutki,
Co do odrobiny.
    Mam więc postać, kształt i miarę
    Każdego szczygiełka,
    Krasną główkę, ocząt parę
    I żółte skrzydełka.
Ród mój chociaż jest tak mały,
Zna go każdy przecie,
Śpiewa, fruwa przez rok cały
I w zimie i w lecie.
    Nie opuszczam wśród burz, chłodu
    Kraju ojczystego...
    Jestem synem tego rodu
    I szczycę się z niego.



„Jutrzenka dla najmłodszych”

Trzy podkowy.

Piąty synek ubogiego robotnika był bardzo głodny. Spoglądał z żalem na koszyki wypełnione bułeczkami, rogalkami i smakołykami czerwonych kucharek i ruchliwych gospodyń. Bał się prosić o bułeczkę, żeby go ojciec nie zbił zato. Aż nadeszła żona kupca ze swoim dobrze wypełnionym koszykiem.

— Co się tak patrzysz na mnie ciekawie? zapytała chłopca.

— Chciałbym... chciał... bym... — niedokończył chłopiec.

— No, bułeczkę chciałbyś zjeść, powiedz śmiało — zachęciła go uprzejmem spojrzeniem do odpowiedzi kupcowa.

Chłopiec zaczerwienił się i wziął bułkę podaną mu przez kupcowę.

Kupcowa była bogata, nie miała dzieci. Wypytała się chłopca o wszystko, a potem poszła do domu robotnika i prosiła, ażeby dał jej synka na wychowanie.

Robotnik zgodził się. Pomyślał:

— Mam dosyć kłopotu z czterema synami, niechże przynajmniej piąty — Marek — nie będzie ciężarem.

I Marek poszedł do kupcowej. Rósł szczęśliwie w domu jej, chodził do szkoły, uczył się dobrze, kochał swoją panią, a i pani kupcowa była z niego zadowolona.

Pewnego razu zaprosił Marka na wieś na wakacje kolega jego szkolny.

Opiekunka i rodzice pozwolili i Marek pojechał. Podobało mu się bardzo na wsi, a najbardziej lubiał jeździć samotnie na koniu. W piękny dzień sierpniowy zajechał konno do lasu. W pewnem miejscu, gdzie trzy drogi się przecinały, zobaczył na ziemi błyszczącą podkowę. Chciał zeskoczyć z konia i podnieść ją, ale konik jego odezwał się:

— Zostaw ją — to jeszcze nie twoja!

Marek zdziwił się, że konik wtrąca się do jego spraw, ale go usłuchał i popędził dalej.

Gdy minęli pagórek, zobaczył Marek znowu inną podkowę. I tu chciał zeskoczyć i wziąć ją sobie, ale konik znowu się odezwał:

— Zostaw ją i ta jeszcze nie twoja!

Marek usłuchał i popędził dalej.

Przejechali za rzekę i tam spostrzegł Marek trzecią śliczną podkowę.

Konik stanął. Marek zeskoczył z siodła, a konik odezwał się:

— Tę podkowę bierz, to twoja!

Marek ją podniósł, schował dobrze i zawrócił do domu.

Gdy wakacje się skończyły, wrócił Marek z kolegą do miasta. Obydwaj uczyli się bardzo dobrze, a Marek pracował jeszcze pilniej, aniżeli dawniej. Ciągle myślał o swojej podkowie, czy mu przyniesie szczęście. Gdy ukończył szkoły, został sławnym inżynierem. Budował najpiękniejsze drogi i mosty i znano go już wszędzie.

Zdarzyło się, że trzeba było w państwie wybrać prezydenta. Wszyscy ludzie myśleli wtedy o Marku. Wybrano go. A Marek rządził dobrze i wzbogacił państwo.

Syn ubogiego robotnika został prezydentem.



Szkoda czasu i atłasu.

Gdy Stanisława Poniatowskiego obrano królem, jeden z miernych poetów napisał *na atłasie* długie wiersze z życzeniami i powinszowaniem. Król przyjął dar uprzejmie i nagrodził poetę, ale gdy go spytano później, co sądzi o tym utworze, odpowiedział:

— Szkoda czasu i atłasu.



Rozwiązania zagadek z nr. 10-11.

Domyślniki: Jaka praca, taka płaca. Bez pracy nie będzie kołaczy. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem. Gdyby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała.

Zagadka: koza.

Głosówka: kule.

Zagadki nowe.

Głosówka

nadesłała Anita Gerber.

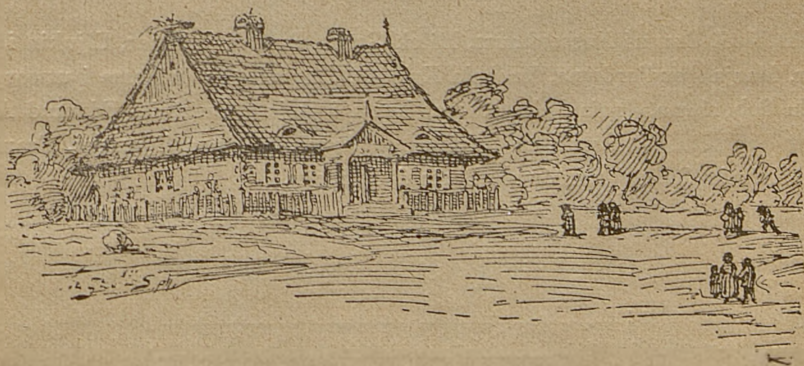
Gdy mam **a** w środku, — jestem postrachem zbrodniarzy.
Kiedy **o** — to mysz ze mną zmierzyć się nie waży,
Gdy zaś **ą** — to dziateczki niechętnie mię widzą,
Bo gdy tam stanąć muszą, to się potem wstydzą,
Przez **i** — każdy szklarz we mnie się uzbraja,
Bo choć miękki, lecz silnie drzewo ze szkłem spaja.

Szarada.

nadesłał Jakób Unger.

Czy to **1**, czy to **3**,
Wszyscy lubim jeść **2, 3**,
1, 2, — to z ludzkiej głowy,
1, 2, 3, — lubi łowy.

(Pomyśl słowo trzyzgłoskowe, wypisz pierwszą zgłoskę i trzecią, potem drugą, a na końcu wszystkie trzy zgłoski! Uważaj, ażeby słowa utworzone ze zglosek odpowiadały treści szarady!)



FIGIELKI RACHUNKOWE.

a) Jeden człowiek zajdzie do Wieliczki z Krakowa w dwóch godzinach; w jakim czasie zajdzie tam dwóch ludzi?

b) Ktoś raz napisał na ścianie tak składnie:
„Mam dziesięć palców u każdej mej ręki
Pięć dwadzieścia u nóg i rąk wypadnie“.
Nie wierzysz? Więc daj przecinek maleńki.

TRAFNE ROZWIĄZANIA ZAGADEK NADESŁALI:

Nacht Emil. Simon Grünberg, Rachela Fischer, Lichter Izrael, Fall Ernest, Hescheles Joanna, Rachela Münzer, Katz Andzia, Niepodpisana, Józef Parnes, Reginka Nachmanówna, Karol Gold, Zosia Samueliówna, Walter i Beatricze Schapira, Milek Grüss, Regina i Lea Moster, Donia Spalter, Oskar Gruder, Katz Artur, Bumek Sommer, Gideon Münzer, Eljukim i Izrael Menczer, Klara i Salomon Beer, Marja Tendlerówna, Zosia i Salomon Susser, Ada Brumerówna, Lusia Hirschhorn, M. D. Baumwurzel, Elza Pilitzerówna, Hela Sobelówna, Hania i Izio Krim, Mojżesz Batlin, Cesia Doner, Mundyk Nestel, Jenia Fabianówna, Jakób Rotenberg, Zygmunt Engelberg, Gizela i Szymon Rittel, Edmund Ambs, Kornfela Hirschfeld, Julja i Salomon Atlas, Gizia i Idzio Affner, Seif Izrael, Melzerówna Gizia, Zofja Buberówna, Edzia Eisenstein, Maksymiljan Turk, Zygmunt Backfein, Pola Rosental, Dorota Hönig, Franciszek Weingarten, Henryk Mayblum. Pfefferkorn Leon, Mundzio Ringler, Mojżesz Fuchsbrauner, Andzia Fischerówna, Irena Rosenfeld, Salomea Djament, Irena Klapperówna, Marceli Czaczkes, Melu Oppenheim, Herman Schapira, Zygmunt Klaften, Joachim Stramer, Saul Hackel, Rudolf Rosenberg, Milo Recht, Emanuel Schorr, Józef Arnold, Wilhelm Tepper, Jakób i Berta Stromer, Juda Silberman.

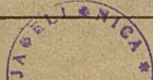
C. d. w następnym numerze

LISTY, ARTYKUŁY I ZAGADKI NADESŁALI:

Nacht Emil. Szapuś Nussenbaum, Milek Grüss, Bumek Sommer, Eljukin i Izrael Menczer, Marja Tendlerówna, Rachela Krieger, Cyganeczka (wiersze i utwory prozą), Hela Sobelówna, Jenia Fabianówna, Nusia i Ozjasz Gutstein, Edmund Ambos, Zygmunt Backfein, Maksymiljan Turk, Katz Artur, Salomea Djament, Frania Jagidówna, Niusia Gronowetterówna, Bertold Pillinger.

10. KUPON DO ZAGADEK KONKURSOWYCH „NASZEJ JUTRZENKI“ 1930.

Imię i nazwisko: ....
Miejsce zamieszkania: ....
Ulica i numer domu: ....





Nowe książki szkolne.

W naszej gazetce musimy napisać bodaj krótko o nowych książkach. Są piękne i tak starannie wydane, że zachęcają każdego do zawarcia przyjaźni z niemi.

Tak, dobra książka to najlepszy przyjaciel. Pokaże ci co piękne, co dobre, poradzi serdecznie i zabawi i niedopuści do ciebie nudów.

Dzisiejsze książki, używane w szkołach są naprawdę przepiękne. Należy się wiele pochwały i wdzięczności za pracę autorom, to jest tym którzy książki napisali i zakładom, które dały je drukować i oprawić.

Wyliczymy na razie książki z Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Elementarz Powszechny, ułożyli Mikulski—Wójcik—Kozera.

W naszej szkole, Dr. A. J. Mikulski dla II-go oddziału.

W naszej szkole. Dr. A. J. Mikulski dla III-go oddziału.

W naszej szkole, Dr. A. J. Mikulski dla IV-go oddziału.

Polska książka dla V-go oddziału. Dr. Antoni J. Mikulski.

Polska książka dla VI-go oddziału, Dr. Antoni J. Mikulski.

Polska książka dla VII-go oddziału. Dr. Antoni J. Mikulski.

A dla szkół średnich, jakie cudne książki!

Kraj lat dziecinych. Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski.

Będziem Polakami, Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski.

Miej serce, Juljusz Balicki i Stanisław Maykowski.

a potem kto lubi,

Bajki nie - bajki, Marty Kubiszynówny.

O innych książkach napiszemy jeszcze.



Od Administracji.

Administracja uprasza prenumeratorów, którzy nie otrzymują czasopisma o natychmiastowe zawiadomienie. NAJLEPIEJ NAPISAĆ KARTKĘ KORESPONDENCYJNĄ Z DOKŁADNYM SWOIM ADRESEM DO ADMINISTRACJI „JUTRZENKI", LWÓW, UL. JANOWSKA 26 i upomnąć się o niedoręczony przez pocztę numer. Kartka może być nieopłacona (bez marek pocztowych), tylko nad adresem do Administracji napisać: „REKLAMACJA W SPRAWIE NIEDORĘCZENIA PISMA".

Ze Lwowa jest także lepiej napisać, aniżeli telefonować, bo przez telefon wychodzą często przekręcone adresy i przesyłka nasza wraca.

Administracja uprasza o naklejanie marek pocztowych do listów ze zagadkami. Takie listy muszą być opłacone!

„NASZA JUTRZENKA" jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.
Numer pojedynczy 50 groszy. — Konto czekowe P. K. O. 149.547
Numer podwójny 1 zł. Telefon 32-31
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Janowska 26.

Prenumerata „Naszej Jutrzenki" wynosi:
półrocznie z przesyłką 2 zł. 70 gr. — — — — — — — rocznie 5 zł.

Cena ogłoszeń jednorazowo:
cała strona 50 zł., 1/2 strony 25 zł., 1/4 strony 12 zł. 50 gr., 1/8 strony 6 zł. 25 gr.
Opust za 3-krotne ogłoszenie 10%, — za 6-krotne 20%, — za 12-krotne 30%

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dawid Berlas.
Z drukarni A. Gojawiczyńskiego we Lwowie, ul. Kopernika 20. — Telefon 28-18